

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Ogólnego zbioru Nr. 139.

№ 1. Warszawa, 1 stycznia (19 grudnia) 1905 r. Rok VII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na ostatniej stronie.



Odyniec.

Od Redakcyi.

Wszystkim naszym współpracownikom i korespondentom oraz prenumeratorom. czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma, z Nowym Rokiem przesyłamy serdeczne życzenia spełnienia wszystkich ich pragnień i zamierzeń. Oby wszyscy szczęśliwie doczekali dosiego roku!

Karmienie sarn przez zimę.

Pod takim nagłówkiem przytacza „Łowiec Polski“ w numerze 22 r. z. opis, jakiej paszy udziela p. Jurke z Popiela, w Poznańskiem, sarnom zimą, aby na wiosnę były zdrowe i łojne.

Pan Jurke twierdzi, że najzdrowszą i najpożywniejszą karmą dla zwierzyny jest ta, którą sama sobie wybiera, będąc wolną i mając dobór obfity.

Teorya ta jest prawdziwa i niczem niezbita, nie licuje ona jednak z praktyką jego, gdyż p. Jurke pasie swe sarny zimą rzepą z osypką, a przecież sarny na wolności, a główne te, które żyją w rozległych lasach, rzepy z osypką nigdzie nie napotykają. Rzepa, w sposób przez p. J. zalecany, zimą sarnom udzielana, może być dla nich więcej szkodliwą, niż pożyteczna.

W rozległych lasach, z gęstym zwierzostanem, karmienie sarn, wskazane przez p. J., byłoby — zdaniem mojem za drogie i z wielu innych względów wielce niepraktyczne. Bezładne rozrzucanie paszy, jak p. J. czyni, chybiłoby w zupełności celu, bo gdy głębokie śniegi przysypią ziemię, a gby jeszcze na niej wytworzy się lodowata skorupa, wtenczas sarny pozbawione byłyby paszy. Rzepę, osypkę, koniczynę w majątkach u nas, mają rządcy pod kluczem, a ci panowie, to wrogowie zwierzyny; są wyjątki może, ale bardzo małe; z nimi to trzeba formalnie walki staczać o paszę dla zwierzyny; rządcowie, to ludzie uniwersalni, na wszystkiem się najdoskonalej znający; znam np. majątek bardzo duży, z rozległemi lasami, którym zarządza wykwalifikowany felczer, i ów felczer narzuca swe zdania, teoretycznie i praktycznie wykształconemu leśnikowi-hodowcy, jak ma żywić zwierzynę i jak ją hodować. Ów felczer mniema, że jest najlepszym leśnikiem, hodowcą zwierzyny, agronomem, hodowcą inwentarzy, gorzelnikiem, rybakiem etc. etc. Bodaj tacy uniwersalni ludzie na kamieniach się rodzili, bo tylko tacy potrzebni w naszym kraju! Gdy czasem jednak który z rządców udzieli jaką homeopatyczną dawkę paszy dla zwierzyny, to ją tak drogo policzy, jak liczą w aptekach aleopatyczne środki lub w bufetach kolejowych szklankę herbaty lub skibkę chleba.

Bezładnie rozrzucone kawałki rzepy po lesie, zmarzną przy niewielkim mrozie, a gdy wilgotne powietrze nastąpi, odtają prędko, stają się miękkie, przechodzą w stan gnicia i wtenczas, gdy je sarny jedzą, z pewnością zachorują na owrzodzenie wątroby i marnie zginą: wychwalona rzepa, zamiast korzyści, przynosi stratę. I to chyba jest także jasne i niczem niezbite. Chcąc mieć zapas zdrowej a taniej paszy dla sarn na zimę, należy zbierać dla nich żołądź, bukiew, kasztany, suszyć liście jerzyny, maliny, akacyi, osiki, wrzosu, topoli, lipy, jesionu, jarzębu etc, a głównie jagód jarzębiny, jałowcu, soczystych łodyg bulwy, a gdy dodamy do tego niewielką ilość dobrze wysuszonego łubinu i piołunu, a obok tego jemioły — *viscum album* i obsiejemy wyrzuconą ziemię z rowów przy drogach leśnych, żarnowcem, który corocznie na wiosnę przycinać należy, wtenczas obejdą się nasze sarny i jelenie bez rzepy, marchwi, koniczyny, owsa i buraków, a na wiosnę będą zdrowe i łojne.

Przy tej paszy nigdy sarny nie zachorują na motylicę, ani owrzodzenie wątroby i jeżeli tylko w dostatecznej ilości pasza ta będzie rozdzielona w żernikach po ostępach, zabezpieczone będą tem samem zagajniki od przygryzania pędów i obgryzania z kory drzewek.

STRASZNA PRZYGODA.

NAPISAŁA

Lady Middleton.

(Przekład z angielskiego).

Znajomi moi bardzo mię prosili, abym opisała to zdarzenie, w którem życie moje narażone było na wielkie niebezpieczeństwo w czasie niezwykłej przygody. I naprawdę, czytelnicy moi mogą osądzić, czy kiedybądź, nawet w najśmielszych snach swoich, przeżyli coś podobnego w takich warunkach, jako spokojni mieszkańcy ludnej miejscowości.

Jeszcze kilka miesięcy temu pióro odmówiłoby mi posłuszeństwa, a myśl wzdrygałaby się we mnie, gdybym chciała zabrać się do opisu tego wypadku. Teraz jednak, gdy mam już pewność zupełnego wyzdrowienia i gdy Elsie sama już znosić może, aby o tem zdarzeniu wspominano w jej obecności,— czuję, że jestem w stanie przystąpić do opisania tej przygody, której, na szczęście, nie przypłaciliśmy życiem. Lecz dosyć tych wzruszeń; oto, jak się wszystko odbyło.

— Maryo, przejedziemy się konno; to nie przyjemnego przepędzić w domu dzień prześliczny!

— I owszem — brzmiała uprzejma odpowiedź.

— A zatem odłóż swoje malowanie; natura ma pierwszeństwo przed sztuką. A dzisiaj nie jest zbyt gorąco, to będziemy mogły pogalopować ostro.

Życzenie takie wyrażała śliczna, młoda kuzynka. Elsie Camellau. Prosiłam ją, żeby tymczasowo poleciła konie osiodłać, podczas gdy ja posprzątałam utensylia malarskie.

Gdy Elsie wyszła, wszedł prędko do pokoju jej ojciec, lord Dundava, w towarzystwie najstarszego syna, Jana Camellau.

Skierowali się w stronę długiej galeryi, jak zwaliśmy następny pokój, a ja usłyszałam kilka słów i urywków z rozmowy obu panów.

— Przeklęta historya w każdymbądź razie — mówił Jan.

— Czy to już ósmy, czy dziesiąty wypadek? — zapytywał go ojciec.

— Ale, jeszcze więcej razy się zdarzyło. A Macphail uważa, że to wielka, poważna strata. Podczas gdy owce Dougala zostały tylko częściowo ubite, a potem leżały nietknięte, to nasze są teraz ubite i poszarpane; szczątki ich znaleziono porozrzucane, a większa część została pożarta.

— Bo gdzież to znaleziono owe szczątki?— zapytywał mój wujaszek.

— W lesie Rhynnie, na najdalszym skraju, blizko jeziora, mniej więcej o 1 i pół godziny drogi od miejsca ostatniego napadu i około 2 i pół do 3 go-

Najzdrowsze smakołyki dla sarn są: jarzębina, naturalnie dojrzała, dobrze na poddaszu ususzona, jemioła, piołun; smakołyki te sarny chętniej jedzą, niż marchew, owies lub koniczynę; one działają bardzo dodatnio na trawienie, a głównie wtenczas, gdy sarnom zielonej paszy brakuje.

W żerniki paszę należy zakładać już w październiku tak, aby sarny do miejsc, gdzie stanęły żerniki, przyzwyczaiły się i znachodziły w nich paszę, która w tym czasie uszczupla się już w polach i na łąkach. Mylnem jest zdanie, aby sarnom zakładać dopiero wtenczas paszę, gdy śniegi i mrozy nastają. Sarny, nie znalazłszy dostatecznej i odpowiedniej paszy w danym ostępie, przenoszą się w inne lasy i właśnie podczas tych wędrówek stają się łupem kłusowników.

Żerniki należy w lesie, w danym ostępie, na odpowiednio wylesionych miejscach, t. j., gdzie najwięcej spokoju, gdzie w bliskości woda bieżąca przechodzi, gdzie wiatry nie mają dostępu etc, jaknajgęściej ustawiać; jeżeli w bliskości żernika znajdzie się woda stojąca, kałuża, trzeba ją piaskiem zasypać, uczynić dla sarn niedostępną, bo, pijąc z niej sarny wodę zgniłą, zepsutą, niechybnie od niej zachorują.

Żerniki, t. j. drabinki z daszkami i żłobkami, najlepsze są, gdy mają formę koła, a nie prostej linii, bo przy żernikach formy prostej linii, starsze, silniejsze sarny i jelenie nie pozwolą słabszym, a głównie cielakom i koźlętom, nawet przystąpić do żeru; bodą i kopią je; biedne cielaki i koźlaki stoją zwykle zdala, skurczone i zgłodniałe, wskutek czego też często marnie giną; nieświadomi rzeczy mówią, że im pasza zaszkodziła.

W przypadku niniejszym, mniemam, więcej praktyka, niż teorya pouczyć nas może i właśnie tutaj, razem z Dietzlem, powiedziałbym: „*Grau ist die Teorie, grün aber die Praxis*“.

Wymienioną przezemnie paszę dają nam nasze lasy, a gdzie jej brak, prędko można ją sobie stworzyć, obsadzając drogi leśne i polne jarzębami, które bardzo dobrze się przyjmują i w niedługich latach dają obficie jarzębiny; obsiewając wysyp z rowów żarnowcem, zasadzając halizny bulwami, wytwarzając podszycie leśne z najrozmaitszych krzewów.

Obsadzane drogi jarzębami, swym kwiatem, na wiosnę nasycają przyjemną wonią powietrze, a w jesieni ubrane purpurową jarzębiną, dają piękny widok, upiększając krajobraz.

Jarzębinę zjadają chętnie także bażanty, która i dla nich jest doskonałym żerem, pomagającym trawieniu, a głównie wtenczas, gdy zielonej paszy zabraknie. W zimie żywi jarząb swemi jagodami tysiące rozmaitego ptactwa, jak kwiczoły, jedwabniki etc., a gdyby jej gdzie było za wiele dla leśnej zwierzyny, to spaść można ją krowami, które także jarzębinę, jako smakołyk, zjedzą; kurami i indykami - w gospodarstwie domowem.

W. Szostak.

Sen zimowy zwierzyny.

Ze sposobu zachowania się zwierząt ssących względem zimy, można je podzielić, aczkolwiek nie zupełnie dokładnie, na cztery grupy: jedne przyzwyczaiły się do zimy w zupełności, drugie zapadają w sen zimowy, trzecie zabezpieczają się od zimy przez zbieranie zapasów żywności na zimę, a czwarte wreszcie unikają zimy, odlatując do ciepłych krajów. Jednakże zauważyć należy, że nie tyle zimno, ile raczej brak pożywienia jest w danym razie głównym czynnikiem.

Ze zwierząt ssących nieliczne tylko pogrążają się w sen zimowy. Z drapieżnych śpi borsuk i niedźwiedź. Wysławszy sobie jamę w ziemi liśćmi, mchem i gałązkami, borsuk właził do tej kryjówki, wsadza głowę między przednie nogi i zapada w sen zimowy; niekiedy jednak budzi się, a podczas odwilży wyłazi często, by się napić wody, a może nawet i na żer. W początkach lutego budzi się już zupełnie ze snu i żywi się cząstkami roślinnemi; ale dopiero z wiosną opuszcza wychudzony, na dobre swe zimowe mieszkanie. Im dalej na południe, tem krócej trwa sen zimowy borsuka. Niedźwiedź w niewoli, gdy ma poddostatkiem pożywienia, nawet podczas najsilniejszych mrozów nie zapada w sen zimowy. W Alpach i Karpatach sypia tylko kilka tygodni, a w Inflantach 3—4 miesiące.

---

dzin drogi od punktu, na którym Dougal stracił swoje barany i kozły.

W tem miejscu ja się wtrąciłam:

— Czy znowu owce zostały napadnięte, wuju Archie?

— Tak, kochanie, na nieszczęście, a co najgorsze, że to sprawa niewyjaśniona. W każdym razie są tam jakieś brytany drapieżne. Ale ile ich jest i jakiego to gatunku drapieżniki? Stado zgłodniałych wilków nie wyrządziłoby większej szkody w przeciągu dni kilku.

— Tak - przerwał Jan — gdyby Gripper i Grasp (przy tych słowach pogłaskał swoje dwa duże psy myśliwskie, któremi bawił się często i które były jego nieodstępnymi towarzyszami), czego nie daj Boże, razem się wściekły i najgorsze rzeczy wyrabiały, toby jeszcze przez tydzień cały nie mogły zagryźć tyle owiec. Ale już co do mięsa, to i połowy nie potrafiłyby pochłonąć i porozrzucać, jak to się stało od pierwszego wypadku w niedzielę do czwartku ostatniego.

— Dobrze!—odezwał się wujaszek. — Wypytywałem zarządzającego i badałem, jakie są psy w sąsiedztwie, ale nie mogłem znaleźć żadnego punktu oparcia. A ty, Janie, jesteś również bezradny, jak mi mówili zarządzający i pasterze. Teraz więc jest kwestya: co tu robić?

Zdążyłam się już załatwić z wymyciem pędzli, posprzątałam rzeczy i udałam się do swego pokoju, by się przebrać do konnej jazdy. Słyszałam jeszcze, jak Jan mówił:

— Zabiorę z sobą Johnnie, swoje strzelby, oraz Graspa i Grippera; będę szukał w lesie Rhynnie, może znajdę kryjówkę jakiego zwierza, który jest owym drapieżnikiem.

Po tych słowach wyszedł z pokoju bocznemi drzwiami.

Ja i Elsie wyszłyśmy po upływie dziesięciu minut, przez drzwi główne, przed któremi stały dwa najpiękniejsze konie z całej okolicy. Wujaszek miał niedużą stadninę. Sąsiedzi często mówili o tem zamiłowaniu lorda do pięknych koni, wuj jednak nie lubił, aby w jego obecności wspominano o tej słabostce. Zanim usunął się ze świata szerszego do zaciszy swego majątku, był on wybornym jeźdźcem, polował często konno i uchodził za świetnego znawcę koni. Wspominał też często o tych pięknych czasach w hrabstwie na równinach Yorkshire, w tej krainie lisów, gdzie jego dozorcy uważali lisa za zwierzę niższego gatunku, na którą nie warto polować.

(*Dok. nast.*).

Niektóre gryzonie, np. zając, królik, nie sobie z zimy nie robią. Niektóre zbierają do swych norek na zimę zapasy żywności. Inne zaś zapadają w prawdziwy sen zimowy. Suseł (*Spermophilus citillus*), świszczuk (*Cynomys ludovicianus*) w Ameryce, bobak w stepach Syberyi, wszystkie zamykają się szczelnie na zimę w swych norach, a świstak (*Arctomys mormotta*), zamieszkujący Alpy, Pireneje i Karpaty, przesypia w niektórych miejscowościach ⅔ roku snem zimowym. Popielica (*Myoxus glis*) zbiera do norki swej zapasy żywności, które niekiedy, napół budząc się ze snu, spożywa. Zasypia ona snem zimowym w jesieni, a budzi się około kwietnia. Przesypia prawie 7 miesięcy. Również sypia chomik (*Cricetus frumentavius*).

W początkach października ściele sobie chomik norkę słomą, zwija się w kłębek, kładzie głowę między tylne nóżki i zapada w głęboki sen zimowy, staje się przytem sztywny, jak trup. Przed samem obudzeniem się zwierzątka, jak pisze Brehm, zmniejsza się jego sztywność, powraca oddychanie, a wraz z niem niejaka ruchliwość. Chomik poziewa, wydaje jakiś ochrypły pisk, przeciąga się, otwiera oczy, zatacza się, jak pijany, usiłuje usiąść, lecz pada, powstaje na nowo, jakby zastanawia się i zaczyna powoli i niepewnie biegać wokoło, zjada też natychmiast zapas, czyści się i gładzi, a w końcu staje się już zupełnie rześkim. Z owadożernych śpi snem zimowym tanrek (*Centetes ecaudatus*) na Madagaskarze i nasz jeż. Jeż śpi bardzo mocno i bez przerwy do marca; Brehm opowiada, że ucinano nieraz pogrążonym we śnie zimowym, jeżom głowę, a pomimo to serce jeszcze dość długo bić nie przestawało. Raz nawet wyjęto zwierzęciu mózg i przecięto rdzeń kręgowy, a serce biło jeszcze dwie godziny. Najmocniej chyba śpią nietoperze. Większość gatunków śpi bez przerwy. Położenie ich podczas snu bywa rozmaite. Niektóre gatunki wieszają się na belce (inne przy ścianie) za pomocą pazurów nóg tylnych (inne przedniemi nogami) i przykrywają ciało szczelnie błonami lotnemi (inne mniej lub więcej je rozkładają). Niektóre zimują pojedynczo, inne towarzysko, nietylko po kilka obok siebie, lecz wiszą niekiedy całemi rzędami jedne na drugich. Temperatura ciała spada z mniej więcej 32° C. na 18°—14° C. Podczas snu tracą te zwierzęta ¼—⅙ część wagi. W suchem powietrzu zasychają nieraz na śmierć. Możliwe jest tedy, że podczas snu zimowego zwierzęcia płuca nie wydalają, jak zwykle, ze krwi pary wodnej, lecz przeciwnie—pochłaniają.

Wiadomo powszechnie, że ptaki nie znają wcale snu zimowego. Tłomaczy się to w ten sposób, że ptaki mogą przelatywać z nastąpieniem warunków nieprzyjaznych, do nowych miejscowości.

Mimo to krążą wśród ludu uparcie podania o tem, że jaskółki śpią snem zimowym w mule na dnie stawów. W nowszych czasach uczyniono kilka spostrzeżeń, świadczących, jakoby i u ptaków istniał rodzaj snu zimowego. C. Spegazzini z Argentyny, zauważył w sierpniu (panuje tam wówczas zima) r. 1888 na poddaszu pewnego domu około 100 jaskółek (*Hirundo rustica*), skupionych jedna przy drugiej i pogrążonych we śnie. Gdy wystawiono je na słońce, przebudziły się po pewnym czasie i pofrunęły. Podobne odkrycie zrobił Sp. w r. 1889 w szczelinie skały na brzegu Rio de la Plata.

Istotna różnica, zachodząca między snem zwykłym a zimowym, polega na tem, że podczas pierwszego jedynie funkcye mózgu ulegają przytłumieniu, zaś podczas drugiego — wszystkie czynności życiowe, i to do tego stopnia, że często trudno jest odróżnić zwierzę śpiące snem zimowym od zupełnie martwego. Temperatura ciała może być nawet niższa od 0° C., pomimo to zwierzę powraca później do życia. Krążenie krwi i oddychanie ulegają znacznemu zwolnieniu; krążenie krwi ustaje niekiedy w niektórych miejscach, a oddychanie często nie daje się nawet stwierdzić. I. Saissy (1756 — 1822), lekarz francuski z Lyonu, pogrążał uśpione snem zimowym zwierzęta, w gazy trujące, lub pod wodę; pomimo to zwierzęta pozostały przy życiu. Wrażliwość na bodźce zewnętrzne zostaje silnie przytłumiona, niekiedy nawet zupełnie zniesiona. Najwyższy hałas nie jest w stanie zbudzić susła ze snu zimowego, zwierzę to zdaje się być wtedy zupełnie głuche.

Powszechnem jest mniemanie, że nastanie chłodów jest główną przyczyną snu zimowego u zwierząt; atoli są zwierzęta, które właśnie wśród najgorętszej pory roku zapadają w letarg. Tanrek (na Madagaskarze) zagrzebuje się podczas suchej pory roku w swe podziemne nory i zapada w głęboki sen. I u susła, według Norvatha, następuje sen zimowy wcale nie podczas chłodnej pory roku. W południowej Rosyi, gdzie suseł jest poprostu plagą rolników, przez całe lato rozlega się w powietrzu jego świstanie; w końcu sierpnia (upały dochodzą jeszcze do 30° C.) wszystko cichnie nagle; susły pochowały się w swe podziemne kryjówki, wykopane prostopadle w ziemi, do głębokości jednego, podobno nawet i do czterech metrów. W norach tych temperatura jest stała, około 15° C, i nawet w zimie nie o wiele niższa.

Obudzenie się zwierząt ze snu zimowego odbywa się nietylko pod wpływem wznoszenia się temperatury, otaczającej środowiska, lecz czasem i pod wpływem zbyt wielkiego zimna. Zadziwiające niezmiernie jest zjawisko nadzwyczaj szybkiego wznoszenia się temperatury ciała zwierzęcia podczas budzenia z letargu. Według Norvatha, suseł budzi się zupełnie w przeciągu 2—5 godzin, a temperatura ciała podnosi się w przeciągu tego czasu z 8° C. do 32° C., zaś w ostatnie 40 minut z 21° C. na 32° C.

W sprawie kul sztucerowych.

W n-rze 15 roku 1899 „Łowca Polskiego", p. Jan Sztoleman, poruszając bardzo ciekawą kwestyę o kulach rozkwitających, czyli ekspansywnych, i przytaczając niektóre wypadki mniej skutecznego działania tych kul, stawia pytanie, czy rzeczywiście należy używać tych kul, i w końcu odwołuje się do grona czytelników z prośbą o nadesłanie szczegółów dla rozjaśnienia tej, tak ważnej kwestyi. Gdy do tego czasu, oprócz niektórych artykułów w tej materyi, jak naprzykład znanego ze swej powagi, p. Wł. Słonczyńskiego (Nr 9 z roku 1900) i innych, w „Łowcu Polskim" zamieszczonych, ostatecznie i szczegółowo tej kwestyi, mianowicie co do działania kul ekspansywnych, nie rozjaśniono, uważam sobie za obowiązek podzielić się z czytelnikami wielce sympatycznego dla każdego prawdziwego myśliwego, pisma, z temi wiadomościami i doświadczeniami, które nabyłem w ciągu bardzo wielu lat na polowaniu w praktyce, używając w knieji wyłącznie sztucer ekspres cal. 450 i kul głęboko wydrążonych, rozkwitających; działanie zatem tych kul, na żywym zwierzu wielokrotnie powtarzane i sprawdzane, stanowi rezultat nieomylny i pewny, wzięty, że tak się wyrażę, z natury, a który stanowić będzie przedmiot niniejszego artykułu. Nim jednak do tego przystąpię, uważam przedewszystkiem za niezbędne objaśnić początkujących myśliwych i osoby mniej kompetentne, co nazywamy sztucerem ekspres, jego początek i zastosowanie do polowania. Od pół wieku przeszło przy ciągłych doświadczeniach i ulepszonych wynalazkach w dziedzinie broni, mianowicie wojskowej, osiągnięto zadziwiające rezultaty dalekonośności. Tym doświadczeniom i wynalazkom zawdzięcza też swe ulepszenia i broń myśliwska sztucerowa, która stoi dziś na wysokim stopniu doskonałości. Ekspres zatem jest to ulepszony i udo-

skonalony, dawny sztucer, który przy użyciu daleko większego naboju prochu i małego stosunkowo rozmiaru kuli, przy odpowiednio urządzonych gwintach w lufie, nadaje kuli ogromną dalekonośność, przyczem linia pocisku jest bardzo rozciągnięta i zbliżona do prostej, co właśnie stanowi główną cechę ekspresów i pozwala myśliwemu z jednego i tego samego miejsca strzelać trafnie na 50, 100, 150 do 200 przeszło kroków. Ekspresy są wyrabiane w różnych kalibrach: najwięcej używane są 360, 400, 450, 500 i 577. Obecnie w Anglii jest bardzo w użyciu cal. 303. Marynarka w Stanach Zjednoczonych uzbrojona jest w karabiny cal. 236, czyli 6 mm. z początkową szybkością kuli przeszło 2.500 stóp na sekundę, czyli 760 m/s.

Przystąpię teraz do szczegółowego opisu ekspresu cal. 450 i instrukcyi użycia go, przepisanej przez samego fabrykanta tej broni, dziś już nieżyjącego, Karola Lancastra, najsławniejszego i najwybitniejszego puszkarza w Anglii. Broń ta była zrobiona na obstalunek przed trzydziestu laty dla sławnego i znanego powszechnie myśliwego, nieodżałowanej pamięci, przedwcześnie zgasłego, hr. Artura Potockiego, i może być uważana prawie za unikat, gdyż tego rodzaju broni z jej zamknięciem i borowaniem luf, w handlu się nie spotyka. Broń ta od przeszło ćwierci wieku jest w mojem ręku i przy ciągłem użyciu, przy silnym naboju czarnego prochu 90 angielskich *grains*, jest wcale nienadwerężoną. Łamie się ona na podobieństwo innych dubeltowych sztucerów z dolnym kluczem, przy naciśnięciu klucza na dół przesuwa się go przez mały prożek na prawo, przyczem lufa odsuwa się naprzód na 7 mm., a wraz z nią i mocny stalowy hak z pod baskili, i lufy się odchylają. Zamknięcie jest zatem bardzo mocne i jak z praktyki widać — trwałe. Zamknięcie to jest uprzywilejowane na wyłączną własność fabrykanta. Broń waży 10½ funta, lufy mają długość 71 cent., borowane są w szczególny sposób, nie znać bowiem żadnych gwintów, lecz lufy wewnątrz nie są ściśle okrągłe, ale cokolwiek owalne. Owal ten, podobnie jak w lufach gwintowanych, robi pewien skręt, przez co kula, wychodząc z kamery, zaraz w lufie całą swą powierzchnią dotyka lufy i nabiera niezbędnego, wirowego ruchu około swej osi. Kula jest z czystego ołowiu, kalibrowa, 26 mm. długa, wewnątrz posiada wydrążenie na 22 mm., a zatem spód kuli przedstawia grubość 4 mm. Otwór u góry kuli wynosi 5 mm., cokolwiek zwężając się ku spodowi wydrążenia. Otwór ten, czyli wydrążenie w kuli, napełnia się masą eksplodującą, według przepisu Lancastra, składającą się z dwóch części chlorku potasu i jednej części kwiatu siarczanego *(Sublimat sulphuri)*. Dodać tu winienem, że są rozmaite masy eksplodujące, używane do kul z materyałem więcej lub mniej czułym, a nawet niektóre gatunki przy użyciu antymonii i innych substancyj, są bardzo niebezpieczne. Podany zaś wyżej przepis z chlorku potasu i kwiatu siarczanego, jest bardzo niewinny i zupełnie bezpieczny; użyty w stanie zupełnie suchym i zmieszany w podobnym stosunku, przedstawia proszek koloru blado-żółtego; przy zapaleniu na powietrzu pali się wolno na podobieństwo ognia bengalskiego, zaś mała szczypta tego proszku, choćby w ilości ziarnka pszenicy, położona na kowadle i uderzona zlekka młotkiem, wydaje silną detonacyę, na podobieństwo eksplodującego kapiszona. Masą tą, czyli proszkiem, napełnia się otwór cały kuli i przy sypaniu można śmiało przybijać drewnianym stemplem, bez żadnego niebezpieczeństwa wybuchu, do wierzchu prawie, poczem otwór, pozostały jeszcze, zapełnia się i zalepia woskiem.

Kula powinna być nieco nałojowana, gdyż na ¾ swej długości owija się dwa razy w cienki papier, który u spodu kuli zawija się, pozostawiając mały koniec skręconego papieru do włożenia go w otwór cienkiej przybitki, która wraz z kulą wsuwa się w gilzę na proch. Gilza, długa na 8 cm., zrobiona jest z cienkiej, mosiężnej blaszki, spiralnie skręconej, wewnątrz podklejona cienkim papierem. Włożona do gilzy kula, owinięta dwa razy w papier, wraz z przybitką zakręca się w gilzie kalibrownikiem i następnie na oddzielnej maszynce przez kołowe naciśnięcie przymocowuje się należycie do gilzy. W końcu należy jeszcze kulę powierzchownie nałojować, do czego można użyć najlepiej waseliny i wosku żółtego w stosownej proporcyi, i zatem tak nałojowaną kulę dla wygładzenia i umocowania natłuszczonej powierzchni trzyma się i obraca nad małym płomykiem spirytusowej lampki. Wtedy nabój jest gotów do użycia.

Jak widać z tego, naboje potrzeba urządzać samemu, gdyż gotowych w handlu nie dostanie. Że zaś jeden z głównych warunków dobrego strzału stanowi dobrze dopasowana, kalibrowa kula, a zatem należy zwrócić baczną uwagę przy odlewaniu kul: ołów powinien być dobrze zagrzany, tak, aby łyżka żelazna nabrała czerwonego koloru; równie i forma do odlewania kul nie powinna być zimna, i dlatego pierwsze dwie, trzy kule należy zbrakować, gdyż jeżeli użyjemy ołowiu tylko co rozpuszczonego i wlejemy do zimnej formy, w takim razie kula prędko bardzo ostyga, kruszy się, czyli ściąga, i jest daleko mniejszych rozmiarów, aniżeli powinna być, co pociąga za sobą, rozumie się, niedokładność strzału. Przy tym dubeltowym ekspresie jest jeden tylko zwyczajny wizyer, z którego można strzelać na różne dystansa, do 200 przeszło kroków, a nawet i na większe mety, wziąwszy cokolwiek grubszą muszkę.

Bazyli Petrow.

(C. d. n.)

DOGI.

(Ciąg dalszy).

6. Buldogi.

Oprócz opisanych pięciu ras dogów europejskich, istnieją jeszcze trzy rasy psów, należących do tej grupy, lecz skarłowaciałe i zwyrodniałe. O tem, w jaki sposób powstały podobne, zwyrodniałe rasy, pisałem już na właściwem miejscu, powtarzać więc przytoczonych dowodów nie będę; przypominam tylko, że każdą cechę potworną można przez dobór nietylko ustalić, ale i znacznie spotęgować. Rasa buldogów, pochodząca bezsprzecznie od tych samych, dawnych molossów, od których pochodzą mastiffy, wytworzyła się i ustaloną została w Anglii w czasach bardzo odległych. Używaną ona była przeważnie do walk w ogrodzonych arenach z hodowanemi umyślnie, wielkiemi, drapieżnemi zwierzętami, a nawet i domowemi, jak byki i osły. Starano się także, lecz bez dodatnich rezultatów, używać buldogi do pomocy przy szczuciu grubego zwierza. Doskonały opis udziału pary pijawek angielskich w polowaniu na niedźwiedzia, znajdujemy w „Panu Tadeuszu". Nieśmiertelny nasz mistrz widocznie z własnych, młodzieńczych wspomnień opowiedział cały przebieg polowania i rolę, jaką w niem odegrały znakomite pijawki.

Dopadły one do zwierza dopiero wtedy, gdy ten powalony został celnym strzałem księdza Robaka, i tak zajadle wpiły się za uszy konającego olbrzyma, że dla oderwania musiano im żelazem otwierać szczęki. Rozumie się, że i bez interwencyi buldogów, niedźwiedź nie byłby już powstał; gdyby zaś zdążyły zaatakować potężnego nieprzyjaciela, zanim otrzymał śmiertelny postrzał, walka musiałaby się zakończyć bardzo prędko niechybną śmiercią psów. Obecnie buldogi należą, jak zresztą i wszystkie inne rasy tej

grupy, do psów najmniej użytecznych. Nawet jako psy luksusowe, mają coraz mniej zwolenników, gdyż obok niezaprzeczonych przymiotów, to jest, odwagi i zmyślności, mają wiele wad, a mianowicie są złe, mściwe, nieposłuszne i często mają niebezpieczną skłonność kąsania młodzikiem.

Co do zewnętrznego wyglądu, to jeszcze mniej więcej przed pięćdziesięciu laty, buldogi, pomimo krótkich, zadartych mord i wysuniętej szczęki dolnej, były wogóle psami kształtnemi i nawet niepozbawionemi pewnej oryginalnej piękności. Od czasu jednak przyjęcia przez angielskich hodowców zasady, że im większy łeb, szersza pierś, a krótszy nos, tem lepiej; psy tej rasy, pod wpływem doboru w oznaczonym kierunku, zamieniły się w prawdziwe karykatury.

Na tem miejscu uczynić muszę jedno zastrzeżenie. Cechy typowe dla każdej poszczególnej rasy podaję tak, jak je ustanowiły odpowiednie kluby kynologiczne, a inne kluby przyjęły. Cechy te nie mogą być dowolnie zmieniane i wszystkie wystawowe *jury* muszą się niemi kierować. Ztąd mogą się spotykać pewne różnice pomiędzy mojemi osobistemi poglądami a opisem wyglądu ogólnego danej rasy, podanym przez jej zwolenników. Uwaga ta odnosi się i do buldogów.

Cechy typowe, przyjęte dla tej rasy, są następujące:

Wygląd ogólny: Pies o budowie masywnej, ścisłej i przyziemistej; bardzo szeroki i silny; odziany w skórę o wiele zaobfitą i pokrytą krótkim włosem. Głowę ma kwadratową i zdającą się być zbyt wielką, odpowiednio do korpusu. Morda bardzo krótka, szeroka i zadarta do góry; ta cecha jest szczególnie widoczna, jeżeli szczęka dolna jest prawidłowa. Korpus krótki, głęboki w piersiach; żebra dobrze zaokrąglone, członki silne i muskularne. Zad wyższy i lżejszy w porównaniu z przodem. Grzbiet powinien wznosić się od przodu aż do krzyża, następnie opuszcza się raptownie ku ogonowi. Jestto cecha bardzo typowa dla tej rasy. Ogon osadzony nizko i nigdy nie powinien być noszony wesoło do góry.

Obserwowany z przodu korpus jest bardzo szeroki i głęboki, następnie zwęża się stopniowo aż do ogona; jeżeli obserwujemy psa z tyłu, nogi przednie powinny się wydawać jakgdyby przyczepione do boków.

Zwraca się też uwagę na charakter: pies zbyt wojowniczy jest tak mało pożądany, jak i pies apatyczny, nie dość żywy i niezwracający uwagi na zaczepki.

Pomimo swej stosunkowej ciężkości, pies powinien być żywy i poruszać się swobodnie, chodem niby ciężkim, toczącym się i kołyszącym zarazem, bardzo typowym. Jego ruchliwość nie może być taką, jak terrierów, ale chody, odpowiednio do wagi psa, powinny być zupełnie swobodne.

Czaszka stanowi dla buldogów jedną z najważniejszych cech. Powinna być, o ile można, jaknajwiększą; obwód jej, mierzony przed uszami, powinien przynajmniej dorównywać wysokości psa w łopatce; kwadratowa, a nigdy nie zaokrąglona, lub śpiczasta. Przy obserwowaniu psa z przodu, powinna zdawać się bardzo wyniesioną ponad dolną szczękę, a także bardzo szeroką i kątowatą: w profilu głowa zdaje się bardzo wysoką i bardzo krótką od łba do końca nosa.

Policzki zaokrąglone, dobrze wypełnione i podchodzące pod samo oczy.

Czoło: wierzch czoła płaski pomiędzy uszami; czoło szerokie, lecz płaskie, nie powinno dużo wystawać ponad mordą, pokryte obfitą skórą, tworzącą wiele fałd. Kości skroniowe wydatne, szerokie, kwadratowe, tworzące wgłębienie głębokie i szerokie, zaczynające się od kości nosowej i dochodzące do połowy czoła, a następnie ginące stopniowo ku wierzchowi głowy.

(*C. d. n.*) *August Sztolcman.*

Ze wspomnień starego myśliwego.

Trochę o zającu.

Kto weźmie to pismo do ręki i przeczyta tytuł, z pewnością ruszy ramionami i pomyśli sobie: co tu ten stary weteran myślistwa może jeszcze dodać do tylu opisów zająca, uczonych i nieuczonych. Zapewne. Tylko, że ja nie piszę dla tych, co bywają na polowaniach, gdzie giną setki i tysiące niewiniątek, ani dla starszych myśliwych, bo ci wiedzą to samo, co i ja; piszę dla pozostałych, t. j. dla młodych i początkujących, mianowicie dla tych, co polują z wyżłom sami, albo tylko we dwóch, ci, mówię, może prędzej znajdą tu co pożytecznego dla siebie.

Przed kilkudziesięciu laty, chociaż były przepisy, ograniczające polowanie, nikt tego nie przestrzegał, polowało się więc bez przerwy rok cały. Byli jednak i tacy, którzy, dbając o swój zwierzostan, nie strzelali samic zajęcy w czasie od 1-go marca do 1 go września: o ile mogli i umieli, ochraniali miejscową zwierzynę. Aby tego dokonać, trzeba było nauczyć się rozpoznawania samca od samicy; nie było to zbyt łatwe, ale przy ciągłej uwadze, aby nie zabić samicy, przyszło się w końcu do pewnej wprawy. Postaram się uwydatnić te różnice. I tak: najprzód samiec od samicy mocno się różni kolorem: samiec ma łeb szaro-siwawy, samica szaro-rudawy. Samiec ma słuchy od spodu prawie białe z czarnemi końcami, samica słuchy od spodu trochę ciemniejsze, jakby przysmolone, a czarny kolor końców mniej zajmuje miejsca. Te dwie cechy niewiele się różnią między sobą: trzeba mieć dużą wprawę, aby je na pierwszy rzut oka rozpoznać, dalsze już są nierówno łatwiejsze. Samiec ma grzbiet i boki siwawe, nieraz bardzo jasne, samica też części zawsze ciemniejsze, rudawe, a nieraz i mocno rude. Ale już najłatwiej rozpoznać samca od samicy po udach, gdy bowiem samiec ma uda jasno-siwe, a kolor ten zachodzi nieco na grzbiet, samica ma uda także siwe, ale nigdy tak jasne, jakby mocno zasmolone, i kolor ten rzadko dosięga krzyża. Wogóle gdy widzimy zająca jasnego, to napewno samiec.

Jakkolwiek cechy powyższe są dla mnie bardzo wyraźne, rozumiem jednak, że dla każdego nie będą takiemi; trzeba do tego koniecznie trzech warunków: mieć dobry, bystry wzrok, umieć z łatwością rozróżniać odcienia kolorów i nadewszystko nie gorączkować się przy strzale. O ile rozpoznanie samca, widzianego pojedynczo, dla niewprawnych jest dość trudne, o tyle w parze z samicą jest łatwe dla każdego bezwarunkowo, tylko że to rzadko się zdarza. Ja zaledwie dwa razy taką parę widziałem: raz na polowaniu z naganką w lesie, prawdopodobnie pod wiosnę, samica szła naprzód, samiec tuż za nią, różnica była bardzo widoczna. Drugi raz, jadąc szosą, która przechodziła przez błotne pastwiska, a więc kępa przy kępie dość wysokiej, spostrzegłem o kilkaset kroków, że lis goni zająca. Biedny zajęczyna kręcił się pomiędzy kępami to w prawo, to w lewo, ale lis był za nim ciągle tuż tuż; kazałem stanąć i czekałem końca tej gonitwy, spodziewając się wkrótce przyjść tanim kosztem do pieczystego. Niezadługo pościg ten zaczął się prosto na mnie, a gdy się zbliżył na pewną metę, wówczas poznałem, że mniemanym lisem była samica-zając, napastowana przez samca. Odżałować nie mogłem, że nie miałem strzelby, z wielką satysfakcyą byłbym w łeb wypalił temu napastnikowi. W braku jej, wziąłem kamień w rękę i gdy ta para przechodziła przez szosę niedaleko, jak o kroków dwadzieścia, rzuciłem na samca tak, że o włos go nie trafiłem, czego tak się przestraszył, że wykręcił się i popędził szosą, samica zaś poszła prosto do pobliskiego lasu. Z tego opisu widzimy, że nawet na daleką metę można odróżnić samca od samicy.

Powszechnie utrzymują myśliwi, że zając nie ma węchu, chociaż kto wie, czy go nie ma w pewnym kierunku, albowiem razu pewnego, siedząc na bryczce na linii w lesie, spostrzegłem, że zając pędzi ku mnie, coraz przykładając nos do ziemi. Kazałem furmanowi skropić go batem, co gdy uczynił, naśmiałem się, jak ten zajęczyna pociesznie kręcił tyłkiem, zmykając w krzaki. Chyba tego dnia odechciało mu się zalotów.

Powiadają również, że, gdy się widzi zająca w kotlinie z rozłożonemi na boki słuchami, jest to samica; gdy zaś ma słuch przy słuchu, to samiec. Widziałem to nieraz, ale przyznam się, żem tego nie sprawdził. Najłatwiejszy i najpewniejszy sposób rozróżnienia samca od samicy jest, gdy zając pomyka z kotliny: samica kładzie słuchy na sobie, a chód jej jest tak równy, jak gdyby kto piłkę potoczył po stole.—w pewnej dopiero odległości podnosi słuchy do góry; samiec zaś pomknąwszy, odrazu trzyma słuchy podniesione w górę, dając przytem kilka susów, kient, kient. Jeżeli jest ścigany przez psa, to dopiero później kładzie słuchy na sobie.

Aby skutecznie polować, trzeba znać naturę i zwyczaje zająca, wiedzieć kiedy i gdzie go szukać, a następnie umieć koniecznie upatrywać. Bez tych warunków można się dużo nachodzić, a niewiele widzieć. Ogólna zasada przy szukaniu: w porze suchej, gorącej, zając siaduje w dołkach, nizinach; podczas gęstych, słot—przeciwnie. We wrześniu w miejscowościach np. nad rzekami, gdzie są suche a obfite łąki, siada zając w potrawach, po dolinkach, wyższą trawą porosłych; niemal zawsze znaleźć go można w koniczynie, marchwi, burakach, łubinie, kartoflach. W październiku, gdzie są błota, bagna i t. p., zawsze go tam znaleźć można, np. na błocie, gdzie się strzela kszyki. Co go powoduje w porę nieraz chłodną siadać w takiem miejscu, że nieraz wodę w kotlinie widziałem, nie wiem.

Razu pewnego chodziło nas trzech, szukając zająca; gdyśmy zeszli szmat pola, nic nie widząc, dopiero wtedy zgodzono się, żeby pójść na błoto, i rzeczywiście, zaledwieśmy weszli na nie, pomknął kot.

Mieszkając nad stawem, a właściwie nad błotem, okalającem go, zawsze w tym miesiącu po kilka kotów tam ruszałem. Nie trzeba tylko myśleć, aby we wskazanych wyżej miejscach, wszystkie zające okolicy gromadziły się; nie, są one i gdzieindziej, tylko że w tych miejscach zawsze ich pewna liczba przesiaduje, a jako w mniejszym kawałku, łatwiej je tu odszukać, niżeli na dużym obszarze. W listopadzie i grudniu, gdy już zając nie ma ochrony w trawach i t. p., najczęściej przesiaduje w roli, dawno zaoranej, bo w świeżej nie lubi, przynajmniej w takiej nie znalazłem go nigdy.

K. Dębicki.

(C. d. n.).

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z INDYJ

przez

Józefa hr. Potockiego.

(Ciąg dalszy).

Kto sam nie doświadczył, nie uwierzy zapewne, że iść za postrzeloną panterą, inną sprawia emocyą, niż za dzikiem lub jeleniem. Co krok i co chwila niemal, człowiek napadu zwierza się spodziewa, a gąszcz tak ciemny, że nim się pomyśli o strzale, może już być w zębach pantery. Żołnierze ciskają kamieniami przed sobą, i o ile możności, drogę torują; ja sam trzymam się Gerarda i mam sposobność przyjrzenia się, jak ten stary i doświadczony myśliwy, ostrożnie, krok za krokiem postępuje.

Dochodzimy do linii naganki. Pocieszny widok Hindusów, którzy na głos świstawki w mig na drzewa powyłazili, i jak małpy pomiędzy konarami siedzą. Wtem jeden z nich wskazał ręką w kierunku kilku fantastycznie, jeden na drugim piętrzących się głazów granitu. W tejże chwili na pięć kroków przed sobą za blokiem kamiennym usłyszałem głośne mruknięcie. „Look out!"—krzyknął pułkownik. Złożyłem się w mgnieniu oka, lecz pantera zakryta skałą, ruszyła naprzód i znikła w gąszczu. Musiała być ciężko ranną, i nie czując się w sile podjęcia walki, uszła przed nami. Puściliśmy się za nią na oko niemal, dopadła jednak labiryntu skał, kamieni i jaskiń. Straciliśmy farbę i musieliśmy od dalszego szukania odstąpić, tem więcej, że słońce się miało ku zachodowi i zaczęło się nieznacznie ściemniać. Raniony zwierz ukrył się w jaskini, jest zatem wszelkie prawdopodobieństwo, że go jutro odnajdą. Noc już ciemna była, gdyśmy wrócili do domu, z próżnemi co prawda rękoma, lecz, co do mnie przynajmniej, z wrażeniem nowego epizodu w myśliwskiem mem życiu.

10 marca. Żołnierze do dnia z psami poszli za panterą; pułkownik miał wojskowe zajęcia, nam zaś zeszedł czas na przygotowaniach do wycieczki obozem, na którą jutro mamy wyruszyć. Pułkownik niestety z nami nie jedzie, towarzyszy mi natomiast jeden z oficerów jego pułku, rotmistrz Grant, dobry myśliwy, znający miejscowość i ludzi; bardzo mi na rękę mieć go ze sobą, gdyż nie znając krajowego języka, nie zdołałbym sobie z ludźmi dać rady. Gerard pożycza namioty, pozostaje mi nająć konie wierzchowe, bryki, ludzi, kupić prowizye i t. d. Na szczęście w oficerskim klubie wszystkiego dostanie.

Pod wieczór w tryumfie przynoszą panterę. Zapomocą psów odszukali ją w jednej z jaskiń blisko miejsca, gdzieśmy ją wczoraj porzucili; znaleźli ją dogorywającą i łatwo dobili. Śliczna sztuka, choć nie z największych, mierzy 6′ 6″ od końca ogona do głowy, zwykły to bowiem sposób mierzenia tygrysa i pantery. Te ostatnie nadzwyczaj są co do wielkości nierówne: samice zwykle mniejsze, niektóre sztuki mało co większe od naszego rysia, natomiast wyrośnięty kocur nieraz wielkości małego tygrysa dochodzi. W kolorze szerści i wielkości centek również znaczne bywają różnice, i jedna skóra do drugiej nieraz zupełnie niepodobna. Na tej różnicy wzrostu i na odmianach koloru sierści fundują niektórzy przyrodnicy i myśliwi twierdzenie, że w Indyach jest kilka gatunków felidów, które zazwyczaj jednem mianem: „pantera" (Felis pardus) obejmują, i że lampart mianowicie stanowi odrębny od pantery gatunek. Większość zaś przyrodników jest zdania, że w Indyach pomiędzy panterami, „rodzaj" (genus) jest jeden, kilka natomiast istnieje „odmian" (varietas) i co do mnie sądziłbym, że ci ostatni mają słuszność, wzmiankowane różnice bowiem tyczą się jedynie wzrostu i odmian sierści, nie są zaś zasadnicze co do budowy ciała i ubarwienia. Między naszemi niedźwiedziami naprzykład, żaden osobnik niemal do drugiego niepodobny, chociaż do jednego gatunku należą. Jedynie tak zwany po angielsku „hunting leopard" (Felis jubata) i „snow-leopard" (Felis uncia), stanowią odrębne od pantery gatunki. O pierwszym, tak zwanym lamparcie myśliwskim, będę miał później sposobność dłużej wspomnieć; drugi zaś, śnieżny lampart, zamieszkujący tylko szczyty Himalajów, nader jest rzadki, i skóra jego wysoce cenna. Widziałem jej jeden okaz w Dardżilingu u p. Mówisa, który 500 rupii (około 1,000 fr.) za nią żądał.

ROZDZIAŁ V.

11 marca. Raniutko wyprawiamy bryki z namiotami i służbą, sami zaś mamy po drodze wziąć kilka miotów, i pod wieczór dopiero do obozu ściągnąć. Pożegnawszy się z państwem Gerard, ruszamy na południe od Goony, w kierunku siniejącego na widnokręgu pasma niewysokich pagórków o fantastycznie piętrzących się skalistych szczytach, gdzieśmy dotąd nie byli. Wzgórza te mamy dzisiaj przegonić. Przybywszy na miejsce zebrania, zastajemy raport, że parę godzin temu widziano panterę, która z otwartej równiny do gąszcza ściągnęła. Gąszcz ludźmi obstawiono, aby nie wyszła, ewentualnie by śledzić jej ruchy. Bierzemy ten miot, pantery nie było; równie bezskutecznie zajmujemy następne ostępy, w ostatnim tylko doktór S. chybił dzika.

Słońce zachodziło, gdyśmy do obozu ściągnęli. Malowniczo wyglądały zdaleka rozpalone ogniska, migocące światła i na ciemnem tle drzew jasno odbijające białe ściany namiotów. Zastajemy przygotowany doskonały obiad. Trudno uwierzyć, jak smaczny obiad krajowy kucharz, bez wszelkich przyrządów, ogień na gołej ziemi rozłożywszy, w kilku prostych garnkach zgotować jest w stanie.

12 marca. Pierwsza noc pod namiotem. Do dnia wyjechałem konno z Mahmud Khanem na podjazd, by spróbować, czy się nie uda gdzie strzelić gazellę lub Nilgaja. Ciemno jeszcze było gdyśmy wyruszyli, od wschodu tylko jasna smuga różowego światła wskazywała, że się niebawem rozwidni. Nie ujechaliśmy i kilkuset kroków, gdy zdało mi się, że na nagiej skale o kilkadziesiąt kroków przed sobą widzę niby czarną masę o wyraźnych konturach jakiegoś zwierzęcia. Zwróciłem się do Mahmuda, który widocznie w tejże chwili był to samo spostrzegł. „Riczi, Sahib, Riczi!“ (Niedźwiedź, panie, niedźwiedź!) — szepnął mi zcicha. Piorunem zeskoczyłem z konia, na nieszczęście sztuciec był jeszcze nie nabity, gdyż nie spodziewałem się go zapotrzebować pod samym obozem. W chwili, gdy nabijałem strzelbę, niedźwiedź widocznie nas spostrzegł lub zwietrzył i zeskoczywszy na drugą stronę skały, zniknął nam z oczu. Rzuciliśmy się w tę stronę, lecz nigdzie nie mogliśmy go dopatrzeć; musiał się ukryć w jaskini, których w labiryncie skał i głazów było poddostatkiem. Żal go było zostawić, nie spróbowawszy nawet dostać. Mahmud galopem ruszył do obozu po fajerwerki, umyślnie w celu wykurzenia zwierza z jaskiń przyrządzone, a których spory zapas mieliśmy ze sobą w obozie. Powrócił po chwili z kilkoma ludźmi i fajerwerkami. Zepsuliśmy kilkadziesiąt sztuk tych ostatnich, w kilku jaskiniach je podkładając, pomimo to jednak niedźwiedź się nie pokazał. Jedyny to raz widziałem w Indyach niedźwiedzia. Później kilkakrotnie zdarzało się nam słyszeć od ludzi, że w tej lub owej jaskini, napewno się znajdować musi; próbowaliśmy w rozmaity sposób, lecz nigdy nie udało się nam go zobaczyć. Niedźwiedzi tu widocznie dosyć, codziennie niemal ślady ich widzimy. Indyjski niedźwiedź (Ursus labiatus) różny od naszego, znacznie mniejszy, włos ma czarniejszy i dłuższy, łeb również dłuższy, pysk śpiczasty rudego koloru. Żyje w jaskiniach i nocą tylko za żerem wychodzi, dlatego go dostać niełatwo.

Tymczasem parę godzin zeszło, trzeba było wracać do obozu. Obóz nasz rozłożony w zielonym gaju olbrzymich temarindów; namioty ustawione w półkole po jednym dla każdego z nas, piąty służy za jadalnię. W głębi stoją bryki, konie, obozują ludzie, ruch i gwar od rana. Do pięćdziesięciu ludzi mamy ze sobą — formalna karawana!

(C. d. n.)

POLOWANIE w TURCYI EUROPEJSKIEJ
i krajach sąsiednich *).

przez

Adama Czajkowskiego.

(Z rosyjskiego).

Godnym uwagi jest fakt, że wraz z zanikiem zamiłowania w myślistwie i nieodłącznie z nim związanych, silnych wzruszeniach i fizycznych trudach, — Turcy zaczęli tracić swoje wojownicze i zaborcze instynkty, co pociągnęło za sobą upadek ich potęgi. Tureccy sułtani zwycięzcy byli wszyscy, bez wyjątku, namiętnymi myśliwcami. W Tessalli, na bezleśnych stokach góry Ossa, pokazywano mi szeroki wąwóz, znany tam pod nazwą wąwozu sułtana Murada, na pamiątkę skoku, jaki sułtan wykonał przez niego konno, w pościgu za sarnami. Po podbiciu Grecyi, sułtan, Murad II gi, przedsięwziął wyprawę dla zwiedzenia swych nowych posiadłości. Tessalskie góry obfitują w liczne stada dzikich baranów, czyli muflonów, i sułtan, jako namiętny myśliwy, polował na nie z obławą wśród nieprzystępnych skał. Do podobnej obławy zgromadzono przeszło dziesięć tysięcy chłopów, nic dziwnego więc, że takie polowania, dość często powtarzane, tak silnie obciążały miejscową ludność, że pamięć o nich przetrwała aż do naszych czasów.

Obecnie sprawy myśliwskie w tych krajach uległy zupełnej zmianie. Tylko nieliczni, najbogatsi właściciele ziemscy utrzymują myśliwskie tabory. Zniknęły prawie zupełnie znakomite niegdyś rasy psów myśliwskich; również myśliwskie konie, stanowiące niegdyś chwałę Wschodu, stały się obecnie rzadkością i coraz bardziej tracą swe cenne przymioty.

Zanim jednak przejdę do bardziej szczegółowego wykładu moich spostrzeżeń nad obecnym stanem myślistwa na Wschodzie, muszę zwrócić uwagę na zaszczytne stanowisko, jakie myślistwo zajmowało niegdyś w tych krajach, i na korzyści, osiągane z niego przez ówczesne rządy.

Turecka kawalerya dawnych czasów, składająca się ze spahisów i timariotów, oraz kawalerya bośniacka i hercogowińska, znana pod nazwą akindiów i będąca postrachem Niemców i Węgrów, zawdzięczały swój rozwój i wysokie zalety głównie myśliwskim ćwiczeniom, odbywanym prawidłowo i rozumnie. Chociaż może wydawać się nieprawdopodobnem, żeby polowania stanowiły jedno z zasadniczych ćwiczeń przy obuczaniu dobrej, lekkiej kawaleryi, jednakże tak było na Wschodzie w owych dawnych czasach. Zdarzało mi się słyszeć w tym przedmiocie, od potomków dawnych spahisów, opowiadania z rodzinnej tradycyi, a oprócz tego widziałem rękopis z owych czasów, zawierający instrukcyę dla ćwiczeń kawaleryi w czasie pokoju w celu przygotowania jej do służby na wojnie.

Cała otomańska kawalerya zostawała pod dziedzicznym kierunkiem dwóch rodzin. Rodzina Jewreno dziedziczyła dowództwo nad kawaleryą Turcyi azyatyckiej, przyczem naczelnik nosił tytuł Bejlerbeja anatolskiego; rodzina znów Miszel-Oglu dowodziła spahisami i timariotami Turcyi europejskiej, których główny naczelnik tytułował się Bejlerbejem rumelijskim. Bośniacy zostawali pod komendą własnych, dziedzicznych dowódców z pomiędzy miejscowych, feodalnych panów.

We wspomnianej instrukcyi, oprócz wskazówek co do chowu i utrzymania koni wojskowych, zawiera-

*) Opis niniejszy pomieszczony był w rosyjskim miesięczniku myśliwskim „Priroda i Ochota“, w zeszytach za sierpień i wrzesień 1903 roku.

ły się także przepisy dla naczelników oddziałów, co do urządzania, jako obowiązkowych, praktycznych ćwiczeń, i to po kilka razy w ciągu jesieni i zimy, wielkich, wspólnych polowań, na które obowiązani byli zbierać się wszyscy kawalerzyści. W każdym okręgu znajdowało się po kilka tysięcy kawalerzystów, którzy za wydzielone im do użytkowania grunta, obowiązani byli, w czasie wojny, służyć w konnicy. Ci kawalerzyści zbierali się w oznaczone z góry miejsca i następnie dzielili na kilka oddziałów, a każdy oddział miał sobie wyznaczony pewien obszar do zbadania i wskazany punkt zborny, do którego należało spędzać zwierzynę. Oddziały rozstawiały się w taki sposób, że tworzyły olbrzymie koło, które poruszało się ku środkowi, coraz bardziej zmniejszając się, aż do naznaczonych z góry punktów, od których zaczynało się właściwe polowanie, czyli zabijanie zwierzyny. Postoje i noclegi wyznaczono po drodze, a ruch postępowy powinien był odbywać się wprost przed siebie, bez względu na przyrodzone przeszkody terenu. W pewnych odstępach czasu należało przesyłać naczelnikom obławy szczegółowe raporty o ilości i rodzajach spędzonej do matni zwierzyny, o własnościach terenu i o wszelkich wydarzeniach w czasie drogi. Cały ten ruch musiał być wykonywany nadzwyczaj dokładnie, ażeby żaden z oddziałów ani na chwilę nie tracił ogólnej spójni, łączącej go z innemi oddziałami.

Podobne ćwiczenia, noszące charakter prawdziwej, kawaleryjskiej służby w czasie wojny i rekonesansów, odbywanych w nieprzyjacielskim kraju, bez żadnej wątpliwości bardzo przyczyniały się do rozwinięcia zdolności, niezbędnych dla każdego dobrego kawalerzysty, czy to żołnierza, czy dowódzcy. Każdy oddział zostawał pod dowództwem naczelnika, którego zadaniem było zużytkować liczebną siłę swych podkomendnych w ten sposób, ażeby przy danym terenie ani kawałek gruntu nie został opuszczony i ciągły związek z sąsiedniemi oddziałami nie był przerwany.

(C. d. n.).

Edward VII jako myśliwy.

O „żyłce myśliwskiej“ swego króla piszą gazety angielskie, co następuje:

Mimo swych lat 62, król angielski, Edward, jest dotąd jeszcze wielkim łowcą przed Panem. Ba, rzec można, że namiętność myśliwska wzrasta u niego z każdym rokiem. Za dawnych lat lubował się więcej w życiu towarzyskiem, teraz jednak stara się je ograniczyć możliwie do koniecznych rozmiarów i czasu, oznaczonego w sezonie londyńskim; natomiast czasu na polowanie poświęca jaknajwięcej, o ile tylko jest do tego sposobność. Jedynym gatunkiem polowania, który król mniej może lubi, jest polowanie na grousy (pardwy szkockie).

Król Edward we wrześniu, we właściwym sezonie grousów, bawi zwykle w Szkocyi i przyjmuje tu i ówdzie zaproszenia na polowanie grousowe, lecz zawsze w ograniczonej liczbie, gdy nie może odmówić z jakichkolwiek względów. Faktem jest zresztą, że gazety często wspominają o rewirach królewskich przy Balmoralu, gdzie są też świetnie urządzone bagna dla grousów, aczkolwiek jest ich tam niewiele, a król nigdy prawie do nich nie strzela. Kiedy chce ubić czerwone pardwy, udaje się do jednego lub drugiego ze szczęśliwych posiadaczów lub dzierżawców większych bagien grousowych. Czasu swego pobytu w Szkocyi król używa zwykle przedewszystkiem na polowanie na jelenie, które są nader liczne i silne, szczególnie w lasach królewskich. Najchętniej jednak udaje się król Edward na polowanie na bażanty, które zaczyna się w Anglii z dniem 1-ym października.

W dobrach królewskich pod Sandringham król Edward uprawia od lat wielu hodowlę bażantów na wielką skalę. Głównym dozorcą jest tutaj jeden z najlepszych hodowców i myśliwych Wielkiej Brytanii, mr. Jackson, który ma obowiązek wyhodować co rok 10,000 bażantów. Jaja wylęgają się 16 dni w inkubatorach, poczem podkłada się zwykle po 10 jaj kurom domowym, znajdującym się w odosobnionych skrzyniach. Można więc zrozumieć łatwo, że czas wylęgania dostarcza niemało kłopotów hodowcy bażantów w Sandringham.

Gdy młode bażanty są już wyklute, zanosi się je do skrzyń, które stoją na kółkach, i rozwożą je do różnych części rewiru. Tam młode zwierzęta starannie się pielęgnuje i pilnuje do chwili, gdy nadejdzie czas, że można je już wypuścić na swobodę. Lecz i wtedy jeszcze czuwa nad niemi uważne oko myśliwych-hodowców.

Król Edward dba szczególnie wiele o swoją broń myśliwską, gdyż jest zawodowym znawcą ręcznej broni palnej. W zamku Sandringham jest sala zbrojowa, w której znajdują się wszelkie istniejące gatunki strzelb i flint we wspaniale urządzonych szafach do broni. Wszyscy myśliwi, którzy mieli możność zwiedzenia tego zamku, podziwiają bogactwo broni, tam się mieszczącej. A mimo, że kolekcya broni w zamku jest zupełnie skompletowana, niema roku, żeby do niej nie przybywała nowa broń. Król jednak najchętniej używa flinty o najskromniejszym wyglądzie, która wszakże jest bardzo lekka.

Gdy król urządza polowanie w Sandringham, to jest ono dla pobliższej miejscowości, Norfolku, zawsze wielką uroczystością. Na długi już czas przedtem ogłasza się w całych dobrach, kiedy i gdzie nagonka się odbędzie, i przerywa się robotę na polach, żeby w lesie panował spokój zupełny. W „wielkim“ dniu zjawia się personel myśliwski w galowych mundurach, ubrany zielono ze złotem szamerowaniem. Obławnicy noszą bluzy niebieskie z białem przybraniem i białe kapelusze filcowe z czerwonemi wstęgami. Kostyum ten ma barwy krajowe, a ludzie w nich wyglądają bardzo ładnie. Intendentura królewska posiada kilkaset takich mundurów dla obławników.

Na polowania królewskie zaprasza się rzadko kiedy więcej, niż ośmiu do dziesięciu myśliwych, ale muszą to już być strzelcy pierwszorzędni. Jak wiadomo, król, jako książę Walii, został raz bardzo poważnie postrzelony na polowaniu na bażanty, a przeto twierdzą powszechnie, że od tego czasu zaprasza jedynie najcelniejszych łowców. Chociaż, co prawda, ów pan, który swego czasu miał pech taki, że trafił w księcia Walii, był jednym z najlepszych myśliwych zjednoczonego trójkrólestwa. Król więc nie z tej przyczyny zaprasza wyłącznie dobrych strzelców, lecz dlatego, że sam jest wybornym myśliwym i niczego tak nie unika starannie, jak lichych strzałów na polowaniu.

Każdy z myśliwych, uczestniczących w polowaniu królewskiem, ma z sobą 3—4 sztuki broni, a za sobą prowadzi dwóch pomocników do nabijania strzelby. Prowadzi się księgę kontrolującą, w której są zapisane wszystkie polowania. Rozkłady są zazwyczaj bardzo duże, ponieważ w rewirach jest wielkie mnóstwo zwierzyny skrzydlatej. Bardzo często się zdarza, że jednego dnia pada kilka tysięcy bażantów. Wozy, które zabierają zwierzynę ubitą z rewiru, oczekują na oznaczonych miejscach i odwożą trofea do lodowni królewskiej, w której mieścić się może 6,000 sztuk rozmaitej zwierzyny. Jest to druga z rzędu lodownia angielska, co do rozmiarów, przewyższa ją tylko lodownia, urządzona przez barona Hirsza, która pomieścić może 10,000 sztuk zwierzyny.

Śniadanie przed polowaniem król urządza zwykle na stacyi kolejowej Sandringhamu, „Wolverton Station“,

lub w małym dworku wiejskim, należącym do majątku królewskiego, a znanym pod nazwą „Folly“. Jadłospis bywa bardzo skromny. Zazwyczaj podają, jako główne danie, rodzaj „Irish Stew'u“, będący czemś pośredniem między tą narodową potrawą irlandzką a węgierskim gulaszem, do którego król ma szczególne upodobanie. Przy tych śniadaniach i wogóle w dnie, gdy się odbywa polowanie, król Edward ma zwykle świetny humor. W czasie przygotowania się obławy, król, siedząc na stołku myśliwskim o jednej nodze, bezustannie opowiada interesujące zdarzenia ze swych przygód myśliwskich. Przypomina wtedy czasy swej młodości, kiedy polował w Egipcie i Indyach, leżąc o godz. 5-ej rano w mule nad Nilem, gdzie czyhał na krokodyle i w końcu ubił jedną sztukę. Potem mówi o Indyach, gdzie strzelał do lampartów i tygrysów, a raz ubił jednego dnia 6 tygrysów.

Królowa i damy dworskie, bawiące w czasie polowania w Sandringham, zjawiają się zwykle na tem śniadaniu. Ale para monarsza nie znosi tego, żeby damy, jak to obecnie staje się coraz modniejszem w Anglii, podczas obławy pozostawały na linii strzelców, albo też szły za strzelcami. Po ukończeniu polowania, rozkłada się trofea na wielkiej murawie przed zamkiem, a król, w obecności gości, oblicza. Z lodowni rozsyła się zwierzynę częściowo, jako niespodziankę, dla członków rodziny królewskiej, część otrzymują dzierżawcy dóbr królewskich, a resztę oddaje się szpitalom i innym instytucyom dobroczynnym.

Mimo lat 62, ręka i oko króla są jeszcze ciągle tak pewne, jak za najlepszych lat młodych. Rzadko kiedy pudluje, nawet gdy zwierzyna zjawia się w zupełnie niesprzyjających warunkach. Tylko częściej, niż dawniej, król używa na polowaniach swego konia, „pony“ myśliwskiego, ażeby łatwiej się przenosić z jednego miotu na drugi.

Jerz.

Listy do „Łowca Polskiego“.

W sprawie psów myśliwskich.

Jakkolwiek odpowiedź p. Majewskiego w Nr. 23 „Łowca Polskiego“ r. z. nie dotyczy mnie osobiście, jednak, jako interesowany w tej sprawie, uważam za konieczne zabrać głos i objaśnić, że p. M. myli się, twierdząc, jakoby kupującemu psa nie powinno zależeć na tem, jakiego psa kupuje, a głównym warunkiem przy kupnie mają być zdolności, jakich się wymaga od psów legawych. Na cóż w takim razie prowadzenie ksiąg w zarodowych psiarniach i wymaganie rodowodów przy kupnie psa?

Często psy nader niewyraźnej rasy, przy jakiej takiej inteligencyi i dobrej tresurze, nietylko naszych myśliwych, ale i wielu niemieckich nemrodów, zupełnie zadawalniają, a pomimo to dobremu myśliwemu podobny bastard wystarczyć nie może. Za dowód mego twierdzenia służą psy, sprowadzone mojem staraniem, o których p. Morozewicz wspomina w „Łowcu Polskim“ w n-rze 22.

Psy owe nie pochodzą od handlarza i nie są przez niego nabyte z porządniejszej psiarni, jako ranżery, lecz kupione były od obywatela ziemskiego z Księztwa Gotha, a przedstawione przez niego, jako psy pierwszej klasy, za które kazał sobie zapłacić 500 i 380 marek.

Otóż po odebraniu psów, zabraliśmy je w pole, ażeby wypróbować ich zdolności myśliwskie, i zaręczam, że zarówno p. Mor., jak i ja, mamy cokolwiek pojęcia o tem, czego od psa za 500 mr. żądać można, a że p. Mor. jest myśliwym, który w sprawach łowieckich nawet najwytrawniejszym myśliwym-fachowcom nie ustępuje, ja zaś tuszę sobie, że jako myśliwy dosyć znany, także mogę mieć pod tym względem nieco doświadczenia, przeto, jeżeli po kilku próbach, w czasie których przemawialiśmy do psów ich „uniwersyteckim“ językiem i stawialiśmy te same wymagania, jakie stawiają nemrodzi niemieccy, — psy, pomimo to, nie mogły nas zrozumieć i wbrew wszelkim zapewnieniom o ich wysokiej wartości, okazały się godnemi wysłania z powrotem do Vaterlandu, dowodzi to tylko, że p. Moroz. bardzo słusznie ostrzegł w „Łowcu Polskim“ przed podobnym wyzyskiem.

Gdyby sprawa była z handlarzem, wtedy p. Morozewicz dałby za wygraną, lecz że to nie pierwszy raz spotyka nas podobna przyjemność, a jak w tym razie, spotkało nas to ze strony człowieka, uchodzącego w swej okolicy za solidnego, przeto napiętnowanie publiczne takiego czynu, uważane być musi jako zupełnie racyonalne, zwłaszcza, że posłuży dla drugich jako ostrzeżenie przy sprowadzaniu psów z zagranicy, a może i pobudzi nas, myśliwych, do prędszego zajęcia się sprawą hodowli psów rasowych tu na miejscu, w kraju ojczystym.

P. Engel

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 14 grudnia. Pan gubernator siedlecki zapytuje, czy w ustawie Towarzystwa jest artykuł, upoważniający do żądania bezpłatnych biletów na prawo utrzymywania broni przez stróżów przy miejscach ochronnych. Ponieważ ustawa nasza nadaje rzeczonym stróżom prawa, z jakich korzysta prywatna straż leśna, która ma prawo noszenia broni palnej i siecznej, przeto tem samem i stróże Towarzystwa mogą prosić o bezpłatne bilety.

Posiedzenie Rady, 21 grudnia. Towarzystwo główne zawiadamia, że XXXI wystawa psów i koni myśliwskich odbędzie się w Moskwie, w czasie od 25 do 29 stycznia (n. s.). Sędziowie na ową wystawę zaproszeni zostali z Francyi. Rada postanowiła posłać do rozporządzenia komitetu wystawy: 1 złoty i 2 srebrne żetony za najlepsze okazy psów myśliwskich.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej, d. 19 grudnia, przyjęci zostali w poczet Rzeczywistych Członków Warszawskiego Oddziału: margrabia Aleksander Wielopolski i p. Sawicki Jakób z Warszawy.

Na tem samem posiedzeniu wylosowani zostali z kadencyi, w myśl uchwały ostatniego Ogólnego Zebrania, następujący Członkowie Delegacyi: pp. Julian Szuczkowski, Aleksander Jałowiecki, Władysław Tyrchowski, Kujawski, Franciszek Karpiński i Kaun. Delegacya uzupełnioną zostanie na najbliższem Ogólnem Zebraniu nowemi wyborami, do których ona urzęduje w całym swym dotychczasowym składzie.

Kronika Myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki.)

W dobrach Kazimierz, w pow. konińskim, odbyło się polowanie w dniach 26, 28 i 29 z. m., w którem brało udział tylko 6 myśliwych. Rezultat był następujący: padło 1,279 zajęcy, kilkadziesiąt królików i kuropatw. Do rogaczy wcale nie strzelano.

W d. 29 listopada odbyło się polowanie doroczne w dom. Jędrowice, w pow. włocławskim, u W-go Bacciarelli, na którem padło 127 zajęcy i 16 kuropatw. Królem polowania był p. Henryk Krzymuski z Falborza.

W d. 30 listopada w Prusinowicach, u państwa Czarnowskich odbyło się polowanie, na którem, pomimo niesprzyjającej pogody, w 20 strzelb zabito: 234 zajęcy, 3 lisy i 28 kuropatw. Królem polowania był znany artysta malarz, p. Kazimierz Pułaski.

W d. 1 grudnia u p. Adolfa Weigta w Noskowie, w pow. kaliskim w 12 strzelb zabito 62 zające i 2 króliki.

Na dorocznem polowaniu u p. Teodora Endera, w dobrach Kraszkowice, w pow. wieluńskim, zabito 10 kozłów, lisa, 89 bażantów, 6 cietrzewi, 63 kuropatwy, 107 królików, 704 zające i 10 różnych — razem 990 sztuk. Królem polowania był p. Herman Knothe, który miał na rozkładzie 107 sztuk.

W dobrach Krzyczew, w pow. konstantynowskim, gub. siedleckiej, u p St. Kuczewskiego, odbyło się polowanie w 6 strzelb, na którem w 8 miotach zabito: dzika, 8 lisów i kozła. Do zajęcy nie strzelano. Królem łowów był p. L. Dymsza, miał bowiem na rozkładzie kozła i 3 lisy, a z tych 2 z dubleta. Dzika zabił p. Kazim. Kuczewski.

W Pawłowicach, pod Lesznem, majętności hr. Maksymiliana Mielżyńskiego, w W. Ks. Poznańskiem, odbyło się polowanie, na którem 12 myśliwych zabiło 2,861 zajęcy i 110 królików.

W ubiegłym tygodniu u Zdzisława ks. Czartoryskiego w Rokosowie, w W. Ks. Poznańsk m, na trzydniowem polowaniu w 15 strzelb zabito 1,815 zajęcy, 14 rogaczy, 66 królików i 3 słonki—razem 1,898 sz k.

Na czterodniowem polowaniu u księcia Sułkowskiego w ordynacyi rydzyńskiej w W. Ks. Poznańskiem, zabito w 12 strzelb około 3,000 zajęcy, kilkadziesiąt rogaczy i sarn, wielką ilość królików i kilka lisów. Królami polowania byli pp. Lurys Niedzielski ze Śledziejowic pod Wieliczką i Adam hr. Plater z Krakowa.

W d. 6 i 7 grudnia odbyło się polowanie w Jastkowie (gub. lubelska) u p. Nikodema Budnego w 9 strzelb. Zabito: 168 zajęcy, 17 bażantów i 5 kuropatw.

W d. 10 grudnia odbyło się polowanie w Kłodnicy (gub. lubelska) u p. Russanowskiego w 7 strzelb i zabito 57 zajęcy. Królem polowania był p. Rolland, zabiwszy 14 zajęcy.

W d. 12 i 13 grudnia odbyło się polowanie w Worońcu (gub. siedlecka) u ks. Czesława Światopełk-Mirskiego. W 10 strzelb zabito: 248 zajęcy, 2 lisy, 7 kuropatw, 5 cietrzewi i 1 jastrzębia. Królem polowania był hr. Stanisław Zyberk-Plater, mając na rozkładzie 33 sztuki.

W d. 13 grudnia odbyło się polowanie w Płowcach (gub. warszawska, pow nieszawski) u p Józefa Biesiekierskiego. Strzelb było 12. Zabito: 228 zajęcy, 4 lisy (wszystkie 4 w jednym polnym miocie), 13 kuropatw i 1 jastrzębia—razem 246 sztuk. Królem polowania był p. Tadeusz Busse, mając na rozkładzie 41 sztukę.

W d. 16 i 17 grudnia odbyło się doroczne polowanie w dobrach Maławieś (gub. płocka) p. Stanisława Sonnenberga przy współudziale gości częścią z lubelskiego, a częścią z Warszawy. Rezultat łowów był bardzo piękny, gdyż na rozkładzie figurowało: 264 zajęcy, 178 bażantów, 27 kuropatw, 1 jastrząb i 1 kot domowy — razem 471 sztuk. Pierwszego dnia wzięto 2 kotły i bażantarnię, drugiego — trzy kotły i bażantarnię. Do kur nie strzelano. Królem łowów był p. Aleksander Szwede z Warszawy, zabiwszy 66 sztuk.

Na piątem tegorocznem polowaniu zimowem Członków Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa, w d. 17 grudnia, na obszarze Grzebowilk, w 18 strzelb, przy ciepłej i pogodnej porze zabito 88 zajęcy. Najwięcej na wieczornym rozkładzie miał p. Gella (12 zajęcy).

Szóste polowanie odbyło się w 20 strzelb, d. 23 grudnia w obrębie Lubica. Zabito również 88 zajęcy, 6 kuropatw i 1 kota włóczęgę. Królem był p. Br. Wysocki, mający 9 zajęcy.

Drobiazgi myśliwskie.

Do Warszawskiej Spółki Myśliwskiej świeżo przystąpili w charakterze uczestników następujący myśliwi: p. Henryk Mathomme z Warszawy, p. Stanisław Murzynowski z Kalinowej, p. Adam Grabski z Łuszyna i p. Stanisław Leszczyński, adwokat przysięgły, z Warszawy.

Napad kłusownika. W Ulowie, w pow. radomskim, włościanin, Stanisław Polny, wystrzałem z fuzyi zranił leśniczego, Józefa Leśniewskiego, za to, że ten usiłował odebrać mu broń.

Menażerya Watykańska. Ojciec Św. myśli o zniesieniu małej menażeryi, znajdującej się w ogrodach Watykanu. Leon XIII otrzymał od różnych osób mnóstwo, mniej lub więcej osobliwych zwierząt, które z upodobaniem odwiedzał i karmił własną ręką. Pius X uważa, że utrzymanie tych zbytecznych gości jest za kosztowne i postanowił obdarzyć niemi różne zakłady. Z powodu tej menażeryi pismo „Stampa" opowiada, że przed kilku miesiącami jeden z pelikanów wyrwał się z klatki i pofrunął na pola, gdzie niebawem padł od śrótu jakiegoś myśliwego. Myśliwy ów, dumny z takiej, rzadkiej na polach rzymskich zdobyczy, posłał ją w darze królowi. Zarząd domu królewskiego został wszakże zawiadomiony, że ptak pochodzi z menażeryi papieskiej; kazano go starannie wypchać i odesłano do Watykanu.

Pogromca jakich mało. Cała Anglia mówi w tej chwili o niebywałej śmiałości pogromcy lwów, występującego obecnie w Birminghamie. Pogromca ów, nazwiskiem Prinz, nietylko daje ze straszliwymi wychowańcami swymi nadzwyczaj ciekawe przedstawienia, dowodzące świetnej tresury, lecz co więcej, mieszka w ich klatce i spędza z nimi noce. Do pomysłu tego doszedł przypadkiem, założywszy się o grubą sumę, z jakimś sportsmenem; gdy jednak nocował po raz pierwszy ze swojemi lwami i doznał zupełnie dobrego przyjęcia, włączył nocowanie z „poczciwemi stworzeniami" jako nowość do swojego programu.

Koszt polowań w Anglii. Polowanie stanowi dla Anglika kosztowną rozrywkę. Polowania są też w Anglii ważnym działem przemysłu, w którym wielu ludzi szuka zatrudnienia, a znaczne sumy znajdują obrót. Z polowania żyje w pierwszym rzędzie właściwa służba myśliwska, strzelcy, psiarczyki i t. p. Dalej idzie służba stajenna, która również ciągnie piękne zyski z okresu polowań. Również krawcy, siodlarze, kowale, właściciele koni i hoteli żywo interesują się polowaniami, które zwiększają ich dochody, a rol-

nicy zarabiają obficie przez sprzedaż artykułów żywności. W końcu zwiększa się ruch na liniach kolejowych, któremi przejeżdżają myśliwi i któremi przewozi się konie. Dokładne obliczenie wysokości sumy, wydawanej corocznie na cele polowania, jest wprost niemożliwe; można ją podać tylko w przybliżeniu. Tak obliczają Francuzi, że w całej Anglii wkłada się w ten sport 220,000,000 fr., a rocznie wydatki dochodzą do 100,000,000 fr. Na podstawie dat statystycznych obliczono, że utrzymanie psów myśliwskich kosztuje rocznie przeszło 8,000,000 fr. Na odszkodowanie i rozmaite „drobne“ wydatki przeznacza się około 9,000,000 franków. Do tych kwot trzeba dodać dość pieniędzy, jakie się corocznie wydaje na konie i żywność dla nich, na ubrania dla myśliwych i służby i t. d. W Anglii znajduje się około 100,000 koni, służących tylko do polowań, a koszt ich utrzymania dochodzi do 100,000,000 fr. Wartość psów, których ilość dochodzi do 12,000 par, jest trudniejszą do obliczenia wobec bardzo rozmaitej ich wartości.

„Oswojona łasica“. W straszny sposób straciła w Nanterze pewna para robotnicza córeczkę trzyletnią. Dziecko spało w kołysce. Matka jego wyszła z pokoju do kuchni, aby zająć się gospodarstwem. Wróciwszy ztamtąd, ujrzała przerażona kobieta łóżeczko zakrwawione, a dziecię bez życia. Sprowadzony natychmiast lekarz, stwierdził śmierć dziecka. Na szyi i za uchem widniały dwie głębokie rany od ugryzienia. Zrozpaczeni rodzice nie umieli wytłómaczyć sobie tej zagadki, w końcu jednak ojciec znalazł pod łóżkiem śpiącą smacznie, oswojoną łasicę sąsiada. Pyszczek jej był zakrwawiony, niewątpliwie więc krwiożercze to zwierzątko zagryzło dziewczynkę.

Groźne pantery. Ofiarą własnej nieostrożności padł niedawno 18-letni robotnik, Doussy, w miasteczku Soustons we Francyi. Był on obecny na przedstawieniu w menażeryi i z żartu włożył rękę do klatki, gdzie znajdowały się pantery. Zwierzęta w jednej chwili rozdarły mu ramię. Poskramiacz i służba menażeryi pospieszyli z pomocą, lecz było już zapóźno. Nieszczęśliwego przewieziono do szpitala, gdzie niebawem, z powodu zbyt wielkiego upływu krwi, zakończył życie.

Cesarz Wilhelm jako myśliwy. „Frankf. Curier“ donosi, że cesarz Wilhelm zabił niedawno dwutysięczną sztukę zwierzyny, mianowicie białego bażanta. Właściciel Wielkich Strzelic, hr. Tschirschky-Renard, gdzie cesarz odniósł ten ostatni swój tryumf, kazał wznieść na miejscu polowania dwumetrowy obelisk z czerwonego kamienia z odpowiednim napisem.

Spożywanie zwierzyny w Berlinie. Jak ogromne rozmiary posiada obrót i spożywanie zwierzyny w Berlinie, dowodzą cyfry następujące: W r. 1902 w samem mieście pośrednicy w sprzedaży dziczyzny mieli w obrocie: 4,648 sztuk różnych gatunków jeleni, 2,611 sztuk danieli, 1,065 dzików, 21,185 saren, 196,293 zajęcy, 63,890 królików, 20,100 bażantów i 142,680 kuropatw. Są to cyfry urzędowe, wszakże handlarze prywatni sprzedali pewnie drugie tyle.

O system Browninga. Z powodu wzmianki w jednem z pism myśliwskich, że wynalazcą strzelby z ładunkiem automatycznym systemu Browninga był puszkarz z Pragi Czeskiej, wyjaśnia dyrektor szkoły wojskowej, inż. K. Baltz z Ferlachu, co następuje: Browning jest amerykaninem. Wyborne swe pistolety z systemem automatycznym przygotowywał setkami tysięcy w fabryce amerykańskiej w Springfeldzie, na czem zarobił olbrzymie pieniądze. Teraz wyrabia on strzelby śrótowe wielostrzałowe, ale nie mogąc się zgodzić ze wspomnianą fabryką, przeniósł się do Leodyum w Belgii (Lüttich), gdzie w fabryce broni Heristol wyrabia strzelby Browninga.

Świecące pisklęta. „Naturwissensch. Wochenschrift“ podaje nowe badanie Chuna, wyjaśniające znaczenie narzędów świecących niektórych ptaków australskich. Jak wiadomo już od kilku lat, pisklęta australskiego ptaka *Poëphila Gouldiae* posiadają wypukłość u nasady dzioba, świecącą niebieskawo w ciemności. Przypuszczano, że to rodzaj fosforescencyi i porównywano te narządy z świecącemi organami ryb. Badania Chuna wykazują, iż zapatrywanie to było fałszywe. Świecenie tych narządów u ptaków daje się zauważyć jedynie w półcieniu, a w zupełnej ciemności znika, pojawia się zaś na nowo, gdy wpuścimy nieco światła. Nie może tu być więc mowy o żadnej fosforescencyi, lecz jedynie o odbijaniu się światła od warstwy ciemnych komórek, spotykanych w organach innych zwierząt, istotnie fosforyzujących; natomiast zawierają w obfitej ilości komórki barwnikowe, ułożone wśród innych w kształcie gwiazdek i służące właściwie do odbijania światła. Zapewne natura zawierającego się w nich barwnika, powoduje niebieski odcień tego światła. Biologiczne znaczenie tych narządów polega prawdopodobnie na tem, że służą one, podobnie jak wszelkie jasno zabarwione, wypukłe paski u nasady dzioba ptaków, do wskazywania drogi matce, przynoszącej żywność pisklętom. Za tem przypuszczeniem przemawia stanowczo i ta okoliczność, że istnieją tylko u piskląt i znikają, skoro tylko ptaki zaczną opuszczać gniazdo.

Tęgi łoś. W hrabstwie Keyzerlingk w Prusach ubił hr. von Szweryn silnego łosia-łopaciarza, dziesiątaka. Łoś miał tułów długości 170 cm., do pyska wynosiła długość 225 cm., wysokość—186 cm., waga około 8 cetnarów.

Dobra rada. — Wiesz co, jutro wyjeżdżam na polowanie.

— Czy wolno wiedzieć, którego adwokata bierzesz z sobą?

— A na cóż mi adwokat?

— A no, widzisz, jak postrzelisz jaką babę, to będziesz miał gotowego obrońcę.

* * *

Wyrzuty sumienia. Podobno Iks po każdym strzale, danym na polowaniu, ma później wyrzuty sumienia?

— A to poczciwe człowieczysko! I o cóż mu najwięcej chodzi: o sarny, zające, czy o ptaki?

— Nie, tylko zawsze trafia w leśniczych, albo w koguś z nagonki.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów“ J. O. (C. d.).

Dudek.

1. Jaki dudek, taki czubek.
2. Jeśli dudek pokrzykując, w dal na las ucieka, to w drodze będącego deszcz zmoczy człowieka.
3. Każdy dudek ma swój czubek.
4. Kto na dudka stworzony, dudkiem będzie.
5. Nie grab dudku siana.
6. Nie trafileś na dudka.
7. Nie tu dudki łowić.
8. Pokazał mu dudka na kościele.
9. Tak ci dudki łowią.
10. Wygrał dudka na kościele.
11. Wystrychnął (wykierował) go na dudka.
12. Znać dudka między dzięcioły.
13. Znać dudka z czubka.
14. Żebyś wlazł na kogutka, nie przekonasz dudka.
15. Kiedy dudek zapieje, wtenczas się bób sieje.
16. Głupi, jak dudek.
17. Nie dudek, Jakóbek.
18. Judek nie dudek.
19. Plugawy, jak dudek.
20. Snadnie dudka kupi, gdy kto w rozum głupi.
21. Siedzi, jak dudek w dziupli.
22. Stoi, jak dudek.
23. Śmierdzi, by dudek.
24. Ubrał się, jak dudek w pawie piórka.
25. Wygląda, jak dudek na dachu.
26. Dorobił się, jak dudek na kościele.
27. Poszły Rudki (wieś) na dudki, Strzelki na piszczałki.

Dyana.

Zakochanemu i koza Dyana. (C. d. n.)

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Politechnikowi. Kształcąca się młodzież nie może należeć do Towarzystwa. Innych informacyj możemy udzielić osobiście za zgłoszeniem się do Redakcyi.

Treść Nr. I „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego“ wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie rub. 1 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO“ 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO“ prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO“ Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego“ adresować należy:
Smolna 34, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie w składzie Adama Wiluckiego, dawniej Chruścińskiego, w Gościnnym Dworze 139, płacono ceny następujące:

	Kupowano	Sprzedawano	
Sarnina	—.12 k	—.20 k	funt
Zające	—.75 „	1.10 „	sztuka
Kuropatwy	—.80 „	1.10 „	para
Kacz. dzikie krzyż.	1.— „	1.40 „	„
„ „ cyranki	—.80 „	1.10 „	„
Bażanty koguty	2.50 „	3.50 „	„
„ kury	1.80 „	2.50 „	„
Bekasy	—.90 „	1.20 „	„
Dubelty	1.20 „	1.50 „	„
Słonki	1.80 „	2.40 „	para
Drozdy	3.— „	4.50 „	kopa
Kwiczoły	12.— „	15.— „	„
Jarząbki	—.80 „	1.00 „	para
Cietrzewie	1.20 „	1.60 „	„

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Декабря 1904 г. Redaktor i wydawca Jan Sztolcman.

Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41